Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 48. Poznań, dnia 29. Listopada. **1841.**

Literatura zagraniczna.

I. Life and correspondence,
of W. Wilberforce.
II. Memoirs of the life,
of sir S. Romilly.
III. Letters of the earl,
of Dudley. — London, 1841.

(Dalszy ciąg.)

Odkąd Wilberforce zasiadł w parlamencie, stał się politycznym i czynnym organem purytanizmu angielskiego. W okół niego grupiło się wszystko, co tylko trąciło pietyzmem i mistycyzmem; i cała ta sekta, acz nie uorganizowa, na któréj czele stał Wilberforce, Hannah More, Wesley, Newton, była na podobieństwo Jansenistów francuzkich. Tylko że ich tak nie prześladowano, jak prześladowano Jansenistów w Port-Royal. W wolnym narodzie wolno rozwijali nauki swoje; na jednę chyba chłostę byli narażeni, to jest na chłostę śmieszności i satyry.

Dzieje tymczasem piętrzą się w wypadki, burzy się rewolucya w ościennem państwie. Wilberforce nie zważa na nie, i tylko za własnym celem goni. Rok 1793., dyrektorium, Napoleon, Marengo, Hiszpania i Rossya nie robią na nim wrażenia; to są dla niego same widziadła, rzeczywistość dla niego w innéj stronie. Obalenie niewoli Negrów i rozpowszechnienie zasad religijnych, to są dwa główne przedmioty, którym wszystko poświęca. Czynność jego w téj mierze równa się czynności Broughama, a wytrwałość wytrwałości Pitta. Wycieńcza zbytnią pracą słabowite zdrowie, a majątek rozdaje na jałmużny i dobre uczynki; wysyła missyonarzy do Australii i do Sierra Leone, do St. Domingo chce zaprowadzić protestantyzm i język angielski; sam pisze, działa, drukuje, rozprawia; ściąga do siebie Talleyranda, Foxa i Macaulaya, utrzymuje stósunki z osobami różnego stanu i znaczenia; udziela rad kobietom w ich gospodarstwie, mężów naucza, jak używać powagi w domu; osoby zgłaszające się zewsząd do niego w rzeczach sumienia objaśnia, pociesza, godzi z sobą; zgoła aż do 76. roku życia pełni naprzemian i odgrywa role kazuisty, doktora, męża stanu, kolonizatora, apostoła, missyonarza, autora, administratora, adwokata.

Między listami najciekawsze są, które do Wilberforca pisał John Newton, przyjaciel i protektor Wilhelma Cowpera. Niektóre ustępy rzucą światło na jego duszę: »W chwili, gdy to piszę, stroją u mnie fortepian. Jakie to podobieństwo ze mną! Ileż to razy potrzebuję i ja stroju, i jak łatwo rozstraja się harmonia duszy mojéj. Moja wyobraźnia przedewszystkiem jest instrumentem, nad którym nie rozciąga się władza moja. Ulega wpływom zewnętrznym i to czuję się szczęśliwym to daleko częściéj zły jakiś geniusz rozstroi mnie, a wtenczas cierpię niesłychanie. Powstaje dzika mięszanina, uczuć jakby przykry i przeraźliwy rozstrój tonów, a ujść przed nim nie podobna. Nie mogę sobie zatkać uszów, bo w mojém wnętrzu gra ten koncert rozstrojonych instrumentów.« — Na inném miejcu tak się wyraża o rewolucyi francuzkiéj z r. 1796.: »Bóg położył na świat rękę swoją. Chmury i błyskawice gromadzą się w okół jego majestatu, kroczy przez swiat, ale my go nie widzimy. Jego dzieła są wielkie i widoczne, ale cele ich są ciemne. Wysłał przed sobą sługi swoje, którzy umiatają mu drogę, i oczyszczają, co jest nieczystego. Urząd ten podły i przykry dostał się w podział ludziom rozkiełznanych namiętności; albowiem pan możny dzieci swoich nie wyszle, by mu zamiatały stajnie. Europa dziś jest na podobieństwo wielkiéj obory Augiaszowéj, którą Herkules wyczyszcza, i krew wraz z gnojem wyrzuca. Gdy dokonane będzie dzieło, wedle woli Boga, ci, co dziś myślą, że sami sobie dogodzili, poznają dopiero, że wypełnili tylko rozkazy Jego.« — Jeszcze na inném miejscu: »Tyś nie jest, przyjacielu, reprezentantem hrabstwa York, ale jesteś reprezentantem Boga w miejscu, gdzie go dotąd wielu nie uznawało.« i t p.

Tych samych wyobrażeń był Wilberforce. Kiedy Anglia w wojnie z Napoleonem stanęła nad przepaścią,

on pada na kolana, modli się, prawi, że grzechy ludu sprowadziły nań piorun Boży, i że spełnić się musi pomsta Jego. William Cowper zrezygnowany poddać się pod jarzmo Bonapartego, i w elegijnych wierszach powtarza lamenta Jeremiasza. Nic nie było przygotowanego, brzegi Anglii źle obronione, skarb próżny, milicya po wsiach nie chce pełnić służby, marynarka w najgorszym stanie. Zgoła każdy widzi i przyznaje grożące niebezpieczeństwo. Wśród tak powszechnego zwątpienia jeden wznosi się mąż wielki, William Pitt. Wilberforce żałuje go, bo w Napoleonie widzi dopuszczenie boskie, którego żadna siła ludzka nie odwróci. »Nic mnie bardziéj nie przekonało,« powiada o nadzwyczajnéj potędze, którą Bóg Bonapartego obdarzył, jak właśnie ta strona jego charakteru, że umie sobie pozyskać i uwodzić ludzi znakomitego talentu w różném powołaniu, że ich przywięzuje do swojéj sprawy, i używa do swych celów. Ta attrakcya wszystkich umysłów do siebie jest koniecznie potrzebną, ktokolwiek zostać chce punktem środkowym systemu jakiego. Jest to niezawodną próbą wielkiego geniuszu.« Jednakowoż wspierał Pitta, który się stał zbawcą narodu. Człowiek uczciwy i pełen poświęcenia nie zawsze dopinał dobrego, choć zawsze go pragnął; a zaprowadzanie oświaty angielskiéj pomiędzy pokolenia rass afrykańskich, należeć zawsze będzie do nieszczęśliwych jego pomysłów.

Romilly był reformistą w duchu francuzkim i demokratycznym. Nauki Roussa, Diderota, d'Alemberta i Holbacha nie były bez wpływu na Anglią, lubo liczba zwolenników nie była wielka. Należało do niéj najwięcéj młodzieży, jakoto młody Erskine, młody Mackintosh, młody Southey, pełni zapału dla nowych zasad. Przed nimi i z większém doświadczeniem szli: Amerykanin Tomasz Payne, którego sławę zaćmić miała konwencya narodowa; uczony Priestley, przebiegły Horne Tooke, hellenista Parr, jeden z największych oryginałów; dzielny Cobbet, i miły i łagodny Romilly. Młodzież nie obudzała zaufania przez wiek, a starsi mieli zbyt śmieszności. Parr przedewszystkiem głośny był z téj strony; pedant w wysokim stopniu wszędzie popisywał się cytatami greckiemi, miał u siebie liczny zbiór peruk i lulek; był to zapaleniec, ale śmieszny. Mackintosh, Erskine i Southey chcieli założyć w Ameryce rząd na zupełnéj równości polegający, panisokratyą zwany. Nie udało się przedsięwzięcie. Bentham, może najgłębszy filozof swojego czasu, oburzył pismami swojemi publiczność czytającą, tak rozpasane były jego dzieła i życie. Payne oddał się pijaństwu, Horne Tooke nie miał ani odwagi, ani znaczenia. — Jeden Cobbet miał za sobą opinią sprawiedliwego. Całe zatém stronnictwo demokratyczne w Anglii rozprzęgło się. To szczególniéj poniżyło ich w oczach współobywateli, że te teorye, nie będąc wzięte z życia narodowego, które tam było antidemokratyczne, odsłoniły całą ich partyą, jako antinarodową.

Dla tego zasady 1793. roku nie uczepiły się korzeniem ziemi angielskiéj. Z czasem odstąpili od nich i ci, co je z zapałem młodości popierali, jakoto: Mackintosh, Erskine, Southey. Cobbett sam został im wierny, i ostał się dla tego najwięcéj, że popierał teoryą swoją z narodowego stanowiska, że się odwoływał do zwyczajów i obyczajów a i przesądów nawet starożytnéj Anglii. On też jeden najwięcéj wywarł wpływu, któremu przypisać należy wszelkie reformy, do jakich się Anglia późniéj przyznała. Inni przeciwną postępując drogą, zawadzili wielce o miłość i dumę narodową. I tak Payne podawał za przykład Amerykę, Mackintosh Francyą, Erskine i Tooke starożytne rzeczypospolite, Romilly Genewę.

Ustawa genewska, będąca wypływem czystego kalwinizmu, najwięcéj jeszcze sympatyzowała, z protestanckiem ustawodawstwem Anglii. Moralność łagodna, surowa jedynie w dopełnianiu obowiązków, cześć dla cnót prywatnych, zamiłowanie praw i postępu, szacunek dla przemysłu i pieniędzy, skrzętny i ekonomiczny podział czasu i pracy; to były podobieństwa obu narodów, wypływające z tych samych wyobrażeń religijnych i z tego samego plutokratycznego kierunku. Romilly umiał korzystać z téj okoliczności. Przejął zasady rewolucyi, ale nie przejął jéj systemu, jéj błędów. Ztąd poszło, że wkrótce wzrosł w opinią, którą umiał bardziéj jeszcze sobie powiększać słodyczą obcowania i uprzejmością. Szczęśliwy w pożyciu domowem, bo pojął żonę rzadkiéj piękności, i równie pięknych przymiotów duszy; bo podnosił się ze stopnia na stopień, aż do najwyższych urzędów, miał także humor szczęśliwy. Nie ubiegał się o miejsce w parlamencie, i namawiany, aby się o nie starał, długo się temu wzbraniał. Obrany nareszcie zasiadł na ławkach whigów. Pilny w pełnieniu obowiązków posłannika narodu, miał głównie poprawę sądownictwa na celu, na ruch i bieg spraw publicznych mało wpływał.

Mimo téj skromności był to mąż czynny i wielki, łączący w sobie jednostronności teoryi i korzyści praktyki. Był to Genewianin i Anglik w jednéj osobie, człowiek ludzkości i poświęcenia, ale oraz człowiek praktyczny. U niego myśl każda żeniła się zaraz z praktyką, a sprawy powszednie nabierały poezyi. Był

obok tego czuły aż do chorobliwości, pełen ideału, atoli w walce z rzeczywistością, dawał zawsze rzeczywistości pierwszeństwo.

(Dokończenie nastąpi.)

O stanie teraźniejszym muzyki w Polsce.

Przez H. Truhn.

(Dalszy ciąg.)

Józef Elsner, rodem z Szląska, zamieszkały jest od młodości w Polsce. Duszą i sercem Polakiem, i może lepszym aniżeli tysiące innych, którzy nimi są z urodzenia, kocha Polskę za bardzo, aby kiedykolwiek mógł ją opuścić. Napisał on obszerne dzieło o muzyce polskiéj *) i poezyi, ale okoliczności nie dozwalają mu je wydać. Kto wie, czy za życia jego te okoliczności się zmienią i czy dzieło to kiedy wydrukowane będzie. Biografią swoją, swe muzyczne wyznanie wiary, wygotował Elsner wraz z spisem swych prac muzycznych w języku niemieckim; życzyć należy, aby dzieło to po jego śmierci w dobre się dostało ręce. Nie ma prawie ani jednego rodzaju kompozycyi, w którymby Elsner sił swych nie doświadczał; w ostatnim czasie zajmował się on jednak najwięcéj kościelnemi kompozycyami; jak Haydn, tak i on im starszy tém lepiéj pisze, a ostatnie jego oratoryum uważane jest przez wszystkich znawców i przez niego nawet samego za najlepszą kompozycyą jego. Elsner nie daje już dziś lekcyj muzyki, ale radą i czynem wspiera równie miejscowych jak obcych artystów. Na drugim brzegu Wisły posiada mały folwark, gdzie familia jego mieszka; on sam zawsze prawie w mieście; ledwie na kilka miesięcy w lecie opuszcza swoją celę w domu Pijarów. Między uczniami jego pan Dobrzyński jest najczynniejszym i najznaczniejszym. Opera, którą ukończył, dotąd przedstawioną nie była; jeżeli będzie przedstawioną, dzieło swe p. Dobrzyński na bardzo słabéj wzniesie podstawie, bo śpiewaków i śpiewaczek dobrych bardzo mało. W koncercie p. Wodnickiego, w którym p. Dobrzyński dyrygował orkiestrą, miałem sposobność przekonać się, jakim wybornym dyrektorem orkiestry jest p. Dobrzyński. Pan Wodnicki jest to młody bardzo utalentowany fortepianista: przybył niedawno do Warszawy, gdzie dał koncert jako artysta i kompozytor się popisując. Na koncert jego, który był dniem przed koncertem Thalberga dany, bardzo licznie zebrała się publiczność, już to dla tego, że p. Wodnicki wszędzie lubiony, już to, że każdy uważa za coś osobliwszego, gdy się uda artyście krajowemu urządzić koncert w Warszawie. P. Intendant teatru bowiem nie lubi koncertów i zakazuje z góry dawanie ich, bo to uszczupła dochody teatru. Najczęściéj więc artyści przymuszeni są koncert swój jako rzecz prywatną urządzić, i nie mogą nawet o nim w pismach publicznych donieść. I p. Wodnickiemu dopiero po długich korowodach udało się otrzymać pozwolenie dania koncertu, i to dopiero, kiedy już Thalberg przyjechał i zapowiedział był swój koncert; a jenerał-lejtenant Rautenstrauch w swéj godności jako intendant teatru raczył p. Wodnickiemu nawet pozwolić ogłoszenie koncertu przez afisze i pisma publiczne. P. Wodnicki grał koncert swéj kompozycyi dobrze ułożony, w którym wiele pięknych miejsc pojedyńczych znalazłem; wiele oryginalności jednak w kompozycyi téj nie było; rondo à la mazurka najbardziéj mi się podobało. Artysta ten jest jeszcze za młody, za bojaźliwy, aby samoistnie coś stworzyć mógł, i dla tego w kompozycyi ślepo prawie tylko naśladuje dzieła mistrzowskie rodaka swego Chopina; co do gry, ta za mało jeszcze jest jenialna i wykształcona. Uderzenie bardziéj delikatne, lekkie, niż energiczne, często niepewne nawet, czego jednak pewnie główną przyczyną była nieśmiałość artysty, i to, że między słuchaczami znajdował się także i Thalberg. Za to wybornie mu się udawały owe lekkie z gracyą rzucone passaże i ozdoby chopinowskie, które oddał z elegancyą i tą gracyą polską, którą odznaczają się szczególniéj kobiety tego kraju. Jeżeli Pana Wodnickiego przesadzone uwielbienia i pochwały przyjaciół jego, wynoszenie go nad Chopina i t. d. nie zepsują, będzie świat muzykalny miał z niego wielką pociechę.

Wysocki, który przed dwoma laty mocno osłabiony i chorowity zwiedzał Niemcy, postąpił od czasu tego bardzo, równie w grze na fortepianie jak i w kompozycyi. Radzilibyśmy temu artyście, aby nad swymi kompozycyami nie ślęczał tyle jak dotąd, gdyż na takiéj drodze zostałby doktrynairem w kompozycyi. Za uprzejmość jego, z jaką się obcymi artystami zajmuje, każdy z nich serdecznie mu dziękuje. Lecz czas przejść do opery, o któréj, ponieważ bardzo licha, nie wiele będzie do mówienia. W Warszawie nie ma obecnie ani niemieckiéj, ani włoskiéj, ani francuskiéj opery, jest tylko polska, to jest, francuskie opery po największéj części, a czasem i jaka włoska, przedstawianymi bywają w języku polskim. To ma być opera polska. Teatr wielki, mimo tego że bardzo zmalał, jest jednak dotąd jednym z największych, które widziałem dotąd. W tak ogromnym gmachu orkiestra

*) Oprócz tego wydał jak wiadomo, Rozprawę o metryczności i rytmiczności języka polskiego. Warszawa 1810.

składa się tylko ze czterech skrzypków pierwszych i ze czterech drugich skrzypków, inne instrumenta są w stósunku do skrzypc obsadzone. Można sobie więc wystawić, jaki wpływ na umysł muzykalny taka orkiestra mieć może. Musi jednak być dobra, bo pan intendant powiada, że muzyków dosyć, a przecie on najlepiéj musi się znać na tém, najgruntowniéj rzecz tę pojmować, bo na cóżby był intendantem? Po Karolu Kurpińskim pensyonowanym (za co, nie wiemy) objął miejsce kapelmistrza szwagier i uczeń Elsnera, pan Nidecki, bardzo zdatny dyrektor orkiestry i w całém znaczeniu wyrazu, muzykalny. Pan Nidecki, o ile mi się zdawało, jest bardzo cierpiącym i nie dziw! Umysł jego nie może oddać się sztuce, bo stósunki i położenie opery i orkiestry warszawskiéj nie są takie, aby zachęcać mogły utalentowanego artystę do pracy. Orkiestra jednak jest dość dobra. Liczy ona między członkami swymi wybornych artystów, lecz obsadzanie jéj tak bezrozsądne, bezproporcyonalne, jak obecne, czyni, że pojedyńczych artystów usiłowania giną zupełnie i najlepsze chęci i zarody może wielkich talentów marnieją.

W Warszawie główną osobą w teatrze jest w oczach intendanta pan Stefani, Włoch: jest on bowiem dyrektorem baletu. Napisał podobno dość dobrych kilka partytur do baletów. Pan Damze układa muzykę (właściwie nóty) do melodramów i wodewilów i bryluje najczęściéj na warszawskich afiszach. Podczas mego pobytu w Warszawie widziałem dwie opery przedstawione: »*le cheval de bronze*« Aubera i »*brasseur de Preston.*« Pierwsza pod nazwą „koń śpiżowy« jest ulubioną operą w Warszawie. Nie źleby przedstawioną była, gdyby owe wielkie balety włożone *par force* w tęż operę, nie przechodziły były zakresu tańca w operze komicznéj. Tenorzystą pierwszym przy operze Warszawskiéj jest pan Dobrski, ma on piękną i ujmującą postać, czasem nawet śpiewa z uczuciem, ale głos jego małéj bardzo jest objętości. Jeden z mazurków Nowakowskiego cudnie śpiewał pan Dobrski. W tym rodzaju piosnek furore zrobiłby pan Dobrski zagranicą i byłby *en vogue* w Paryżu i t. d.

Panny Paulina i Ludwika Rivoli mają mały głosik, są jednak dla tego, że bardzo ładnie na scenie się wydają, powszechnie lubione. Panią Rywacką widziałem w »koniu śpiżowym« jako Toajin. Jakkolwiek głos jéj jest słaby, jest jednak bardzo wykształcony. Pan Markowski ma mocny, lecz nie wyrobiony bass. Pierwszą śpiewaczką Warszawskiéj opery co do mocy głosu jest panna Turowska, dla głosu jednak contre altowego rzadko się jéj wydarza sposobność występowania na scenie. Przez cztery tygodnie mego pobytu w Warszawie nie występowała wcale. Piękny głos jéj poznałem w prywatnem tylko zgromadzeniu. Panna Turowska posiadając dokładnie język francuzki, włoski, przy swém usposobieniu muzykalném powinnaby Lipsk i Paryż zwiedzić. W Lipsku n. p. w koncertach pod nazwą »Gewandhaus-Konzerte« zapewne miło będzie słyszeć Niemcom, po dwóch włoskich i jednéj belgijskiéj śpiewaczce, Polkę *) Cały repertoir Warszawskich oper składa się, ile pomnę, z następnych: »*Cheval de bronce*«, »*Robert le diable*«, »*Somnambule*« i »*Brasseur de Preston*«, który jednak nie podobał się Warszawianom. Słyszałem przecież, że Rossyniego, Cennerentolę i Donizettego Eliksir, tak nazwani członkowie opery Warszawskiéj także przedstawiają.

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Przegląd pism.

Pisma F. Morawskiego.

Tom I. Wrocław 1841.

Pisma Fr. Morawskiego noszą na sobie cechę znakomitego talentu i wielkiéj łatwości. Autor jest niezaprzeczenie biegłym pisarzem, zręcznym sztukmistrzem, ale nie jest poetą. Nie jest on poetą samodzielnym, wcielonym w swoje dzieło, a jego poezye są pismami jego. Sądząc go z tego stanowiska, oddamy mu cześć winną z wielorakich względów. Tak dla istotnéj wartości rzeczy, jak i dla godła, które położył na pierwszéj stronnicy, (godła wspólnego wszystkim uczciwym ludziom od Jana z Czarnolesia, i przed nim dzięki Bogu, aż do naszych czasów), jako i w skutku przedmowy, najpoetyczniejszéj stronnicy dzieła, jak też nareście z powodu biegłego naśladownictwa Tadeusza i Janusza w niektórych ustępach, w których autor miał talent przybrać ich sobie za chrzestnych ojców przy tém bierzmowaniu, nie będąc z woli przeznaczeń ani ich poprzednikiem, ani rówiennikiem, ani dziecięciem. Tłumaczenie Byrona »Więzień Czyllonu« jest pięknem tłumaczeniem jednego z pięknych, ale mniéj silnych ustępów angielskiego wieszcza. Znajome już poprzednio »Listy do klassyków i romantyków« są płodem biegłego pióra, z pod którego płyną bez najmniejszego

*) Artystka ta przedsięwzięła obecnie zwiedzić ważniejsze miasta. W Berlinie, gdzie obecnie bawi, podobała się powszechnie. *Przyp. red.*

oporu, szczęśliwe myśli, igrając ze słowy, godząc zdania, urągając się z jednych i z drugich na przemian, to z salonową dworskością, to z pożyczanym od Byrona lordowskim tonem; cel satyry bardzo chwalebny, argumenta zręcznie wynalezione, sens moralny, dobry, choć stary, a sąd ostateczny takowy, aby nie narażał sędziego na rozbrat z żadną stroną. Co nawet w następnych płodach przykładem jest stwierdzoném, w pięknym klassycznym ustępie »Na śmierć Karpińskiego« i w romantycznym dość nadpowietrznym utworze »Gwiazdy«, jako też i w pewnym wyłamie pięknéj »Wieży Kruświckiéj«, w którym autor, widać w celu osłodzenia romantykom cytowanych cudzo-słowem »Sosen, co im mruczały piosenkę żeglugi«, wyznaje że czasem także »Szumią mu pieśń żałoby, puszcz zamierzchłych knieje!« »Wizyta w sąsiedztwo« jest jedną z istotnych gwiazd tego tomu (nominalne bowiem, nie wylegitymowały się z przybieranego tytułu). Ten obraz trafnością i naturalnością przewyższa podobne płody Krasickiego, staje obok szczerych i miłych opowiadań barda naszego Janusza, i zbliża się do niektórych szkiców mistrzowskiéj ręki autora pana Tadeusza. Więcéj go nadto pochwalić nie możemy, ale o takowe upraszamy uniżenie autora. »Pan Przyjemski,« »Brzoza Gryżyńska,« »Góra Poznańska,« »Giermek,« »Chłop i Diabeł,« są dźwięcznemi piosenkami odśpiewanemi przy lutni Janusza, przez znakomitego dyletanti, mającego wiele dobrego smaku i muzykalne ucho »Ciche dziecię.« »Ś. Izydor« i »Łza« jaśnieją inną już, bardziéj samodzielną pięknością. »Wiersz do Xiężnéj Izabelli« bardziéj rozrzewnia współczuciem nad łzą téj damy, niż nad ślepotą nędzarza. »Jaxie M.« autor bardzo gładko i sztucznie, ale za zbyt cierpko wymawia jego upodobanie w dobrych objadach! — »Fragment« tęsknoty do boju w czasie wojny greckiéj, bardzo chwalebnéj, zapowiadał nam coś większego. »Powrót« jest najpiękniejszą odą i jednym z najkształtniejszych nadgrobków, jakiemi ręka tylu biegłych rzeźbiarzy uczciła mogiłę wielkiego człeka. Jednak, co do saméj sztuki, możnaby zarzucić sztukmistrzowi, że zanadto obciążył ozdobami ostatni ustęp, ozdobami wzniosłemi wprawdzie, ale przez które przelatuje mimowolnie niecierpliwe oko, chciwe wznioslejszego widoku, na głaz Cezara! Bijem pokłon przed »Trzema mogiłami,« jednak wraz z Adamem, Januszem, Bohdanem, Zygmuntem i innemi, powiedzielibyśmy raczéj »zaszło« niż »zgasło!« Wiara jest próbą menniczną poezyi. Skutkiem téj to łaski nieba mówią o poetach, jak wyrzekł sam autor o Karpińskim: »Ale nie dość ci było poety imienia, całém życiem stwierdzałeś szczerość twego pienia!« — Kończymy ten przegląd pierwszego tomu pism jego, oświadczeniem, że wielka łatwość, poprawność i talent znakomity autora dają nam prawo wymagania od niego dalszych płodów, o których napiszemy nasze «widzimi-się« w czasie i w miejscu. Licznemi przykłady dobrego smaku i poprawności najskuteczniéj sam zwalczy dziwo-płody, na które tak słusznie w liście do romantyków powstaje; broń bowiem ironii stępiała od chwili, jak nie tylko samemu P. Jaxie przytrafiło się przez porywczość sądu, drwić sobie „z kukuryku« Pana Godebskiego, lub kogoś poważniejszego jeszcze. Są bowiem poeci, którzy wiersze nie tylko ciężką pracą, ale krwawemi łzami piszą, a sam autor wytłumaczy sobie powód, dla którego znajdzie w nich ustępy mniéj zcheblowane, jeźli podziela zdanie Szyllera, które przełożył w następny sposób:

»Czemuż geniusz z gustem tak się rzadko spoi?
»Tamten gardzi wędzidłem! ten się mocy boi!«

Warszawa, w Listopadzie. *Wł. Węż.* —

WYCIĄGI PIOTROWICKIE
czyli
niektóre wyjątki z księgozbioru Piotrowickiego,
wydane
przez
ANDRZEJA EDWARDA KOZMIANA.
W Wrocławiu, nakładem Zygmunta Schlettera.

Burza dziejowa w końcu ostatniego stulecia podobna była do gwałtownych erupcyj wulkanicznych. Polska, wielkie Herculanum Europejskie, w skutek tych wstrząśnień zagrzebaną została i znikła z politycznéj widowni świata. Gorliwi pracownicy odgrzebują ją z gruzów i odkrywają coraz nowe pomniki dziejów, obyczajów i życia narodowego. Po tych pomnikach, na których żywy jeszcze koloryt czasu, wgląda dzisiejsze pokolenie jasno w żywot zapadłéj przeszłości narodu i składa sobie coraz lepszy i dokładniejszy jéj obraz.

Z tego względu prace miłośników i poszukiwaczów pamiątek ojczystych mają swoją wartość. Że zaś u nas teraz właśnie tak znaczna pomnaża się ich ilość, i że z takim zapałem biorą się uczeni nasi do tego rodzaju zatrudnienia, rzecz zdaje się naturalna; bo nie tyle drogiemi są pamiątki, do osoby matki przywiązane za jéj życia, ile niemi są po jéj zgonie.

Do zapalonych bibliomanów policzyć należy szanownego wydawcę niniejszych wyciągów. Dowodzi

tego jego własne zeznanie w przedmowie, stronica V. i następne.

Atoli pan Koźmian nie należy do tych, jak ich nazywa, Harpagonów naukowych, którzy skrzętnie zbierają skarb starożytnych pamiątek, ale go zbierają dla siebie tylko, i starannie przed innych ukrywają okiem; on dzieli to piękne przekonanie, że, co jest pamiątką narodu, dowodem i cząstką przeszłości jego, to nie powinno być własnością jednéj osoby, ale do całego kraju należeć; i dla tego zbogacony przez 16letnie poszukiwanie zbiór swój rękopisów i dzieł rzadkich drukowanych w Piotrowicach otwiera i podaje na widok publiczny. »Był czas pracy — powiada — czas mozolny starań, czas zbioru; teraz nadeszła pora użycia tego, co się zebrało. Niwa, na któréj pracowałem, była mniéj obszerną od innych. Żniwo z niéj mniéj bogate. Biesiada, na którą wzywam, mniéj także będzie obfitą, mniéj świetną od tych, któremiby nas inni uraczyć mogli. Lecz może mój przykład tych właśnie bogaczy zachęci do przypuszczenia narodowéj publiczności, do pewnego udziału, w użyciu ich skarbów.«

Wyciągi same, które nam pan Andrzej Koźmian ze swojego księgozbioru podaje, nie są bez interesu. Swieża jeszcze na nich farba czasu i bije z nich światło na osoby i wiek. Do najważniejszych liczymy: listy króla Stanisława Augusta do Adama Naruszewicza; daléj dziennik pobytu tegoż króla w Kaniowie; nakoniec wiersze, jak się zdaje, Wespazyana Kochowskiego z czasów bezkrólewia, po śmierci Jana III.

Wydawca nabył był niektóre papiery po Adamie Naruszewiczu, które się zabłąkały między rachunki ekonomiczne dóbr, które on, będąc biskupem Łuckim, posiadał. Między temi znajdowało się sto przeszło listów króla Stan. Augusta do niego pisanych od 1773. do 1796. r.; p. Koźmian uczynił z nich wybór i 31 podał do druku. Pokazują się z nich przychylne a nawet przyjacielskie stósunki, jakie panowały między królem a uczonym biskupem Smoleńskim. Była to naturalnie przyjaźń królewska, i przyjaźń słabego króla. Nie widzi nigdzie, aby go używał do posług rzeczypospolitéj, ażeby rad jego w sprawach państwa zasięgał; ale go wzywa albo na obiad jakiego imiennika, oraz ażeby z kilka wierszyków na tę okazyę z sobą przyniósł (list I.), albo żąda od niego objaśnień, czy n. p. jest barbarismem napis orderowy »*praemiando incitat*« (list VI.); jak salę nazwać dobrą łaciną (list XIV.); kiedy i z jakiéj okazyi Filipowcy z Moskwy do Polski przyszli, bo tém się snadź chciał król popisać na radzie stanu (list XVII.) i t. p. (np. list XIX., XX., XXI.)

Widać i to z tych listów, jak licznych faworyt króla miał klientów, jak król rad protegowane przez biskupa osoby godnościami i orderami obsypywał, a kiedy mu się wymówić musiał z widoczną to czynił słabością, (porównaj list V., VII., VIII., IX., X., XII., XXII., XXVI.) Naprzykrzał się też często ks. biskup królowi, to na potrzeby pisarków do bióra swojego historycznego, to swoje własne. Charakteryzujący jest list XII. »Lubię ci dogadzać w każdéj rzeczy. Więc i pomieszkanie dla Jezierskich radbym ci wysztukował. Ale na sejm wiele stancyi najmować trzeba i drogie i trudno o nie. A mam na co wydawać aż nadto. — To tak prawda, jak to, że piszę do Ciebie. Jak przyjedziesz rad Ci będę serdecznie.«

Dziennik pobytu Stanisława Augusta w Kaniowie 1787. r. jest w francuzkim języku napisany, jak się wydawca domyśla, przez panią marszałkową Mniszchową. I ten także rękopis znalazł się między gospodarczemi papierami Naruszewicza. »Zabawnie jest widzieć, jak król zjechawszy się z imperatorową po tak długim rozdziale, sadzi się dla niéj na podchlebne i słodko brzmiące wyrazy; jak cesarzowa Katarzyna równie ubiega się za niemi; jaka między temi ukoronowanémi głowami, już w podeszłym wieku panuje jeszcze zalotność dowcipu. Zabawnie uważać, jak każdy wyraz taki jest chciwie chwytany, chwalony, podziwiony; jak powietrze wersalskie owiało dwór Petersburgski i Warszawski, i jak często jedno słowo, nieco dowcipem zaprawione, większym stawało się wypadkiem, aniżeli jaka bitwa przegrana, jakie traktaty zerwane lub zawarte.« — Pomiędzy wielu grzecznościami króla jest i następujący kompliment, godny faworyta cesarzowéj. »Gdy wstawano od stołu, król wziął laskę cesarzowéj z rąk pazia, i sam ją jéj podał. Cesarzowa obróciwszy się, żądała, aby jéj podano kapelusz królewski, by się w grzeczności odpłaciła. Na to król odrzekł: »»Najjaśniejsza pani jużeś mnie innym kosztowniejszym udarowała.«« (Ma się znaczyć koroną.) »Ta odpowiedź« są słowa dyaryusza, »bardzo się podobała cesarzowéj, *qui est faite sentir l'ésprit et le sentiment.*« Ztąd to bardzo być mogło, że cesarzowa mogła się oświadczyć do księcia de Ligne w te wyrazy »że król Jmci Polski całkiem nie stracił na dawnéj swojéj przyjemności i na powabach umysłu.«

W końcu opisuje dyaryusz spotkanie się cesarza Austryi z królem Stanisławem w Korsuniu dnia 11. Maja. »Cesarz przybył dziś po południu do Korsunia. Wiedziano o tém już dniem wprzody, i król wysłał dziś z rana bardzo rychło księcia Stanisława Poniatowskiego do Bogusławia o trzy mile ztąd naprzeciw cesarzowi.

Książe zastał go tam już przy obiedzie, i tylko na pół kwadransa stanął przed nim nazad w Korsuniu. Cesarz przybył tu o kwadrans na czwartą, i zajechał wprost przed mieszkanie króla, w towarzystwie tylko hrabi Kińskiego, brata księżnéj Poniatowskiéj. Wymówił sobie bowiem *incognito*, jadąc pod nazwiskiem hrabi Falkenstein. Wszedł prosto do gabinetu królewskiego, i bawił z królem blisko półtory godziny, rozmawiając z nim sam na sam jak najuprzejmiéj i bez przymusu, jak to nam król potém był opowiedział. Późniéj otworzono podwoje gabinetu. Król kazał przywołać księcia Stanisława, hetmana Tyszkiewicza, pana i panią Mniszek, i raczył ich przedstawić cesarzowi. Jest to osoba nadzwyczajnie miła, w rozmowie przyjemny, łatwy, żywy, aż do zbytku grzeczny i ujmujący; przepraszał za ubiór swój podróżny, dodając bardzo grzecznie: »»Król Jmci chciał widzieć się z kuryerem i kazał go do siebie przywołać, musiałem się zatém stawić.«« Około godziny piątéj konie były do pojazdu już założone. Cesarz na wsiadaniu pożegnał się serdecznie z królem, i uścisnąwszy się z nim po przyjacielsku, powiedział: że się spodziewa mieć to szczęście zobaczenia się z nim jeszcze w podróży swojéj. Król nadzwyczajnie był zadowolony z tego spotkania, i słusznie, bo pan hrabia Falkenstein bardzo się dlań okazał łaskawym. W półtorogodzinnéj rozmowie, przy drzwiach zamkniętych, o różnych naradzali się przedmiotach, najwięcéj zaś o Polsce, i w uniesieniu serdeczności, cesarz dał słowo naszemu królowi »*quil ne touchera pas a un seul arbre qui appartient à la Pologne, et qu'il l'en assurait comme empereur.*«

Z poezyi przytoczonych, jak się słusznie wydawca domniemywa Kochowskiego, autora Klimakterów, Lament strapionéj ojczyzny (po śmierci Jana III.), pięknym jest pomnikiem poezyi polskiéj z końca XVII. wieku. Jest to więcéj satyra wymierzona przeciw królowéj wdowie po Janie III., za któréj poduszczeniem sejm konwokacyjny przez Horodyńskiego, posła Czernichowskiego zerwanym został. Jako próbkę przytaczamy zwrotkę 5.:

Orzeł co pierwszy pod same obłoki
Nad lotną strzałę, wzbijał się wspaniały,
Że go i Argus nie dojrzał stooki —
I owszem, świat mu dziwował się cały,
Teraz ach w ciemne gdzieś uleciał mroki,
I Turczyn z niego śmieje się zuchwały.
Tatarskie wrony pióra mu wyrwały,
Piersi się tylko z ogonem zostały.

Z innych pomniejszych rzeczy, ciekawym jest list własnoręczny francuzki Jana hr. Czernichewa, wiceprezydenta admiralicyi i naczelnika flott rossyjskich, do Naruszewicza, żądający od tego uczonego historyka, ażeby on historycznemi dowodami okazał, iż ród hrabiów Czernichewów jest pochodzenia polskiego, że wiedzie swój początek od niejakiego Czernickiego, który z Polski uszedł do Rossyi w połowie XVI. wieku. Naruszewicz podjął się téj pracy, i napisał kwoli temu rozprawę francuzką, którą także w wyciągach Piotrkowickich czytamy.

PIERWSZA PRELEKCYA
Jędrzeja Moraczewskiego.

(*Dokończenie.*)

Bierzmy teraz wojnę, która niech będzie umiejętnością lub tylko sztuką, ale że losy narodów rozstrzyga, więc jest niezmiernie ważną. Wojny cel stanowi opanowanie władzy nad krajem nieprzyjaciela, albo niweczenie jego zabiegów względem opanowania tejże władzy. Przy wojnie w pierwszem stanowisku to jest zaczepnéj, chodzi o wzięcie punktów, na których władza rządowa się objawia; punkta zaś te stanowią miasta: nieprzyjaciel zatém zdobywający musi koniecznie dobijać się o miasta. Przystęp do nich zależy od dróg, rzek, gór, lasów, oddalenia między sobą, przemysłu, handlu, praw, obyczajów. ducha narodowego i rozmaitych jeszcze okoliczności. Wiele tych okoliczności wypływa z natury i są wiekuiste; wiele zaś jest trwałych przez lata. Bardzo to więc rzecz zwykła, że lubo broń, skład wojska, jego utrzymanie i wszelkie stósunki wojenne doznały zmiany, przecież prowadzenie wojny pod pewnym względem, a mianowicie strategicznym, w jednym kraju zawsze się jednakowo odbywa. Podstawa operacyi, linia bojowa, ich kommunikacya zostają te same, i ztąd nieprzyjaciel odwiecznie przychodził w jedno miejsce; tu zwykle bitwę staczał, tam zawsze rzekę przebył i zaraz o tę twierdzę się kusił. Wojna w krajach cywilizowanych tak się nie może obejść bez historyi, jak się nie może obejść bez kul i prochu. Ta potrzeba historyi w wojnie dla tego mniéj uderza w oczy, że tylko na strategią wpływa, a zatém ze sfery naczelnego a przynajmniéj oddzielnego dowództwa nie wychodzi. Poezya, malarstwo, budownictwo i inne jeszcze sztuki piękne, czemże były bez historyi.

Religia, oświata, sprawiedliwość, wojna, mają głowne zasoby w historyi; nie bawiąc się tu nad wszystkiemi gałęziamy władz rządowych, pokaże się to samo przy skarbowości, a stósunki z postronnemi państwami są prawie tylko praktyczną historyą. Kto więc nie zna historyi narodu swego, a chce nim rządzić, temu miejsce właściwe w domu szalonych, ale nie w rządzie narodu swego. Ztąd wychowanie cudzoziemskie jest usuwaniem przyszłego obywatela od rządu i dobrego wpływu w ojczyznie, albo usposobieniem szkodliwego przez niezdatność urzędnika.

Co do sposobów wykładania historyi mówiliśmy tylko o Grekach i Rzymianach; nowsze czasy jak w innych rzeczach tak i w tém porobiły odkrycia, które przechodzić byłoby i długo i nudnie dosyć powiedzieć, że są historycy, którzy opowiadanie wiążą w łańcuch przyczyn i skutków. Sposób ten możeby się na co przydał, gdyby był do wykonania, ale wypadki tak się pospolicie wiklą, że ich węzła, styczności, początku nie tylko jaki taki historyk, ale żaden a żaden człowiek dojrzeć nie potrafi. Wreszcie nie ma na świecie wypadku, któryby tylko jednę miał przyczynę; zawsze między dwoma przeciwnemi rodzi się trzecie, ale na to urodzenie miliony stósunków wpływają. Każdy skutek cofa się na wiele przyczyn, a tak przyczyuy przyczyn giną zaraz w liczbach, dla których za mało gwiazd na niebie i ziarek piasku na pustyniach i w morzu. Powiązawszy wszystkie wypadki w łańcuch przyczyn zaszłoby się zawsze do Boga jako ostatecznéj przyczyny. Gdy więc historya chciała wywodzić poustawanie skutków, zamieniłaby się w teoryą absolutnego, w coś

jak świat i duch ogólnego, nie byłaby historyą, ale filozofią. Historya zaś nie posiada w zakresie swoim dostatecznych zasobów ku tak wielkiemu dziełu, bo ona zna się tylko na przeszłości ziemskiéj. Biorąc nakoniec rzecz i z najniższego stanowiska, to nawet przy wypadkach świeżych trudno czasem powiedzieć, zkąd się wzięły, a cóż tu dopiero mowić, choćby tylko o jednéj przyczynie, ale skutku, który stanowi tysiączne ogniwo w łańcuchu wyciągniętym przez przeszłość, która to ogniwo, właśnie przypada na czas opisany tylko przez jednego i wcale nie głębokiego kronikarza. Historycy zatém, kiedy chcą wywodzić wypadek z wypadku, i udają jakąś głębokość, przez to samo zdradzają swą miałkość, bo chcą tego dokazać, czego żaden człowiek dokazać nie jest w stanie, co przyrodzeniu rzeczy całkiem przeciwne.

Kiedy historyk nie wiąże łańcucha przyczyn i skutków, ale zajmuje się obrazowaniem czasu wtedy do każdego zdarzenia powód sam się znajduje. Obrazowanie czasu daje się dwojako wykonywać, raz rzucając do słuchacza lub czytelnika ciągłe ogólniki, drugi raz rozsypując przed nimi zaszłe wypadki. Pytanie, który z tych sposobów właściwszy, nie da się bezwzględnie odpowiedzieć. Skoro historyk może wielostronnie pomoc okoliczności i z nich wziąść tylko farbę, aby dostatecznie odmalować fizyonomią czasu, wtedy postąpi dobrze, gdy tylko ogół bierze, a do szczegółów wcale się nie spuszcza; skoro zaś historyk czuje się w braku materyału, to jest nie ma dostatecznych źródeł, wtedy najlepiéj postąpi, gdy tylko tak rzeczy oddaje, jak je z przeszłości powziął.

Grecy i Rzymianie bieglejsi byli w umiejętnościach niż późniejsze cywilizowane narody; stąd historya wieków średnich daleko uboższa w źródła niż starożytna. Czasem lat bardzo wiele jeden tylko nie głęboki opisał kronikarz. Tam już nie ma o czém puszczać się w rozumowania, i trzeba przystrzygać skrzydeł fantazyi.

Mylą się ci bardzo, którzy historykom głoszącym ideje ogólne przypisują łatwiejszą sposobność oddalenia się od prawdy, jak historykom, którzy same wypadki składają, którzy mozajkują historyą. Charakter tylko historyka, właściwie jego miłość lub obojętność dla prawdy, stanowią prawdziwość opowiadania, a nie żaden sposób wykładu. Można kłamać tak dobrze niepowiedzeniem wszystkiego, napomykaniem w połowie, obliczoném stawianiem myśli obok myśli, w ogóle kłamać milczeniem, jak się kłamie mową. Jest to rodzaj kłamstwa wyższego, który się używa w dyplomacyi, nie dla tego, aby mniéj prawdzie szkodził, mniéj był chaniebny, ale żeby się nie dał wykryć, żeby ku zawstydzeniu kłamcy posłużyć nie mógł.

O starych mamy mówić rzeczach, bo opowiadanie nasze tylko do XV. wieku idzie. Większa część słuchaczy zapewneby życzyła, abyśmy tam zaczynali, gdzie kończyć będziemy. Te czasy mogą zastraszać, jak zastrasza głucha puszcza, kiedy kto wchodzi na nią w ciemnéj nocy. Jednakże i w tych czasach spotkamy piękności, choć nie te, co to rozkoszne marzenia podsuwają, to owe, co to ducha w górę podnoszą i do słodkiéj melancholii przywodzą. Stanie rycerz w złotym łańcuchu i przed obliczem króla, za popędliwe tknięcie swéj osoby utnie rękę kmieciowi, jakby gałąź u wierzby, co nie ma czucia. Tenże rycerz popisze się w boju za ojczyznę, ale ucieczе przed karą w pograniczne Tatry; z nich będzie siał rozboje i pożogi. Zobaczymy nad grodem łunę, będziemy słyszeli zgiełk za murami, poczną warczeć strzały, trzaskać kopie, spadać chełmy, rycerz błyszcząc i czerwieniejąc się od płomienia gorejącéj bramy, popędzi na koniu z córką kasztelana; legnie w tym boju ojciec, oszaleje na zawsze porwana gwałtownie córka, a wkrótce bez winy i zacny będzie ów rycerz zbrodniarz i najezdnik, bo ze wszystkimi krewnymi bez zbroi i boso czynił pokorę przed bratem zabitego a stryjem porwanéj. Uderzą nas owe dziwaczne widoki cnoty, czci i sprawiedliwości. Kraj nam się przedstawi jako jeden wielki bór, ledwie gdzie niegdzie przerwany osadą lub grodem z małemi polami; jednakże spoczniemy nad wielkiém jeziorem z obszernemi łąkami, na górze pod opactwem, którego kościoł i klasztor z ostremi kątami w szczytach, wysmukłemi trzema wieżami i trzema złotemi krucyfixami, co błyszczą w promieniach słońca. Odezwą się dzwony i przez olbrzymie dęby zwołają na nabożeństwo prawowiernych z niewielu chatek. Nie są to ani rzemieślnicy ani rolnicy, ich pracą pasiek pilnować, pod bobrze żeremia drzewo poddawać, niedźwiedzie tropować, ryby łowić, czerwiec suszyć, sokoły wybierać i na czaple wprawiać. Zobaczemy biskupów i panów w radzie; owi pasterału łagodną władzę ci znowu miecza surowość będą zachwalali jako podporę czci boskiéj a pożytku ludzkiego. Znajdzie się i taki, co w radzie o wolności powie i serca zachwyci. Wojny w celach chrześciańśtwa zatrą różnice narodów; przy grodach polskich wyrosną ludne miasta niemieckie; z obcém prawem wnidą i obcy obyczaj i obce pismo. Po klasztorach polskich zakonnicy przybysze nie ścierpieliby między sobą Polaka, Piastowie zapomną po polsku, i z tego wszystkiego powstanie w końcu silna, żelazna narodowość polska. Ileż te wieki nie dają otuchy! może one nierównie godniejsze uwagi od innych. W nich początek a więc i zasada życia słowiańskiego i polskiego.

Czasy starożytne, w których uczeni przez gwałt i przymus chcą wynaleść czy postawić Słowiańszczyznę, jako nic pewnego niepodające krótko odprawimy; czasy średnich wieków będą przedmiotem naszym: nie będziemy zaś po literach, syllabach, wyrazach zgłębiali wypadków historycznych. Etymologia już dawno w historyi wygwizdaną być powinna. Wszystkie języki na ziemi mają jedno źródło, bo wszędzie jednym głosem wiatr wieje, grzmot się rozlega, kruk kraka, bo człowiek wszędzie ma jednakowe prawidła myśli, a stąd wszędzie dosyć jednakie kształcenia wyrazów rozpładniania ich po pewnéj zasadzie. Skoro tylko filolog zabłądzi w historyą, zaraz na etymologii w pole wyjeżdża i harcować zaczyna. Właśnie filologowi najmniéj to przystoi. Któż lepiéj wie nad niego, ile to razy w każdym języku zmieniała się ortografia; jacy to ludzie byli, co przepisywali rękopisma; przez jakie męczarnie przechodziło nie tylko dzieło, ale każde w niém słówko. My więc z pewnym tryumfem zapowiadamy, że znaczną część oszczędzimy nudów przez to, iż nie pójdziemy w etymologią, ten klejnot u badaczy Słowiańszczyzny. Myślimy także dać pokój piosnkom, powieściom, przysłowiom i wszystkim tym źródłom z pod kądzieli, które jakkolwiek bardzo narodowe, przecież tak ruchome i tak ulegające zmianie w każdych ustach, a przez tysiące ich przechodziły, że dostatecznéj ostrożności względem nich prawie niepodobna zachować. W samém odwołaniu się do autentyków lub świadectw historycznych, chcemy się mieć dobrze na baczności. Tylko historyk spółczesny i spółczesnemu najbliższy będą pospolicie zasługiwać na wiarę. Kochając z duszy Słowiańszczyznę, nie będziemy dla niéj ślepymi na prawdę. Jest wielu znakomitych pisarzy, których talenta i pracowitość długo polyskiwać będą, oświadczamy się dla nich z poszanowaniem wdzięcznego ucznia, ale ich prace snadniéj nam do dzieł filologicznych i poetycznych, niż do historycznych zaliczyć. Po co Słowianie mają koniecznie od potopu albo ze staréj książki się wywodzić; po co Słowiańszczyzna ma mieć wadę staréj szlachcianki?

Odrzucając to co wielu badaczy przyjmuje, muszę się też trzymać innéj drogi we wykładzie: najczęściéj będę mówił pojedyńczo o Rusinach, Czechach i Lechach, a przedstawiwszy tego lub owego pokolenia, pojedyńcze czyny, potém dopiero spojrzę na nie i powiem co potrafię; w ogólnych jednak widokach, zwłaszcza na początku, bardzo skąpić muszę, bo ich z powietrza chwytać nie chcę, a źródeł jest za mało.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*